

KASZUBAJKI



pod redakcją Elżbiety Żukowskiej
ilustracje Łukasz Kowalczuk

Stacja Kultura
BIBLIOTEKA RUMIA
www.bibliotekarumia.pl

Kaszubajki

Ilustracje, projekt i skład: Łukasz Kowalczuk
Redakcja: Elżbieta Żukowska
Korekta: Monika Pruska
Koordynacja: Kinga Lanc

O tym, jak Rugan w zaloty chodził Copyright © Anna Klara Jędrzejczyk
O tym, jak Klabaternik piratów przechytrzył Copyright © Magdalena Zawadzka-Sołtysek
Jak Purtek Pasibrzucha przepędzał Copyright © Sławomir Mikołajczyk
O olbrzymiej kłótni Copyright © Grzegorz Bryszewski
O tym, jak przepędzono Morę Copyright © Mariusz Hybiak
Jak Barnim się wybrał po Maniewidowe złoto Copyright © Jakub Łukaczyński
Jak gòstk Józwę gościnności uczył Copyright © Andrzej Lanc
O Jablonie i złotym jabłku Copyright © Anna Sabara

Copyright © Elżbieta Żukowska
Copyright © Miejska Biblioteka Publiczna im. Floriana Ceynowy w Rumi for the Polish edition 2020
All rights reserved
Rumia 2020 • Wydanie pierwsze

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Kaszubajki powstały podczas warsztatów realizowanych w ramach projektu „Od baśni do fantasy” dofinansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

Słowo od biblioteki

Dzieci uwielbiają magiczne stwory i fantastyczne opowieści. Czy wiedzą jednak, że baśnie i wierzenia kaszubskie pełne są niezwykłych postaci i historii? Kaszuby to przecież kraina legend i podań kryjących wiele tajemnic, niezwykłych przygód i zagadkowych istot, które cierpliwie czekają na odkrycie. Olbrzymie stolemy, pomocne kraśnięta czy cuchnące purtki to tylko niektóre z postaci zamieszkujących kaszubskie zakamarki. Wśród tutejszych wód, lasów i mokradeł skrywa się cała banda magicznych istot, które mogą rozpalić dziecięcą wyobraźnię, a jednocześnie stać się źródłem artystycznej inspiracji.

I tak zrodził się pomysł, aby odnaleźć te baśniowe stwory, wydobyć je i o ich przygodach napisać nowe, nieszablonowe historie dla dzieci. W efekcie, podczas warsztatów literackich realizowanych w ramach projektu „Od baśni do fantasy" pod kierunkiem Elżbiety Żukowskiej, powstały Kaszubajki – czyli bajki o potworach z Kaszub. Bohater każdej historii został mistrzowsko zilustrowany przez Łukasza Kowalczuka. Dzięki temu Kaszubajki to nie tylko fantastyczne historie, ale i pobudzające wyobraźnię obrazy.

Tym sposobem magiczne stwory wychodzą z ukrycia i wprowadzają najmłodszych w świat kaszubskich skarbów. Jednocześnie zachęcają do dalszego poznawania naszej bogatej kultury, która kryje ogromny potencjał czekający na uwolnienie.

Kinga Lanc, Stacja Kultura – Biblioteka Rumia



Słowo od redaktorki

Dawno, dawno temu, w bajecznej krainie zwanej Stacją Kultura, zebrało się kilku śmiałków, by nauczyć się trudnej sztuki pisania opowiadań. Uczyli się dzielnie i długo, a gdy opanowali już warsztat, zapisali wszystkie historie i wydali w tomie „Magia i cała reszta".

Nim minął rok, postanowili znów zmierzyć się z pisarską robotą i nie zważając na przeciwności losu, które wielu z nas dały się we znaki, wrócili do tworzenia.

Odpowiedzieli na biblioteczne wyzwanie i zmierzyli się z trudem tworzenia historii dla najmłodszych. Oryginalnych, nowych, zaskakujących. Zabrali się żwawo do działania i napisali baśnie, a że mieszkają na Kaszubach nadali im miano Kaszubajek. Nazwali je tak też dlatego, że rezyduje w nich wiele kaszubskich demonów: Jablon, co jabłka podkrada; Mora co ludziom spać nie daje; olbrzymie Stolemy i Purtek, co…

Nie zdradzę Wam jednak wszystkich tajemnic kaszubajkowych opowieści, Niech przemówią do was same, prosto z serca Kaszub.

Elżbieta Żukowska

Magdalena Zawadzka-Sołtysek

Kaszubajki

Kiedy słowa się splatają
z Kaszub stwory przybywają.

Olbrzym Rugan co buduje,
Klabaternik co stróżuje.

Purtk co puszcza bąki smrodne
i stolemy niezbyt zgodne.

Mara, która dusi nocą,
gdy złe sny do drzwi łomocą

i Maniewid z Kraśniętami
zajmujący się skarbami.

Gościnnością Góstk częstuje,
Jablon zaś w sadach grasuje.

Każdy z tej magicznej szajki
jest postacią z Kaszubajki.

Magdaléna Zawadzkô-Sołtësk

Kaszëbôjczi

Czedë słowa sã splôtają
z Kaszëb stwòrë przëchôdają.

Stolem Rugan co bùdëje,
Klabaternik co stróżëje.

Pùrtk co pùpsë mô smrodlëwé
i stolemë niezgòdlëwé.

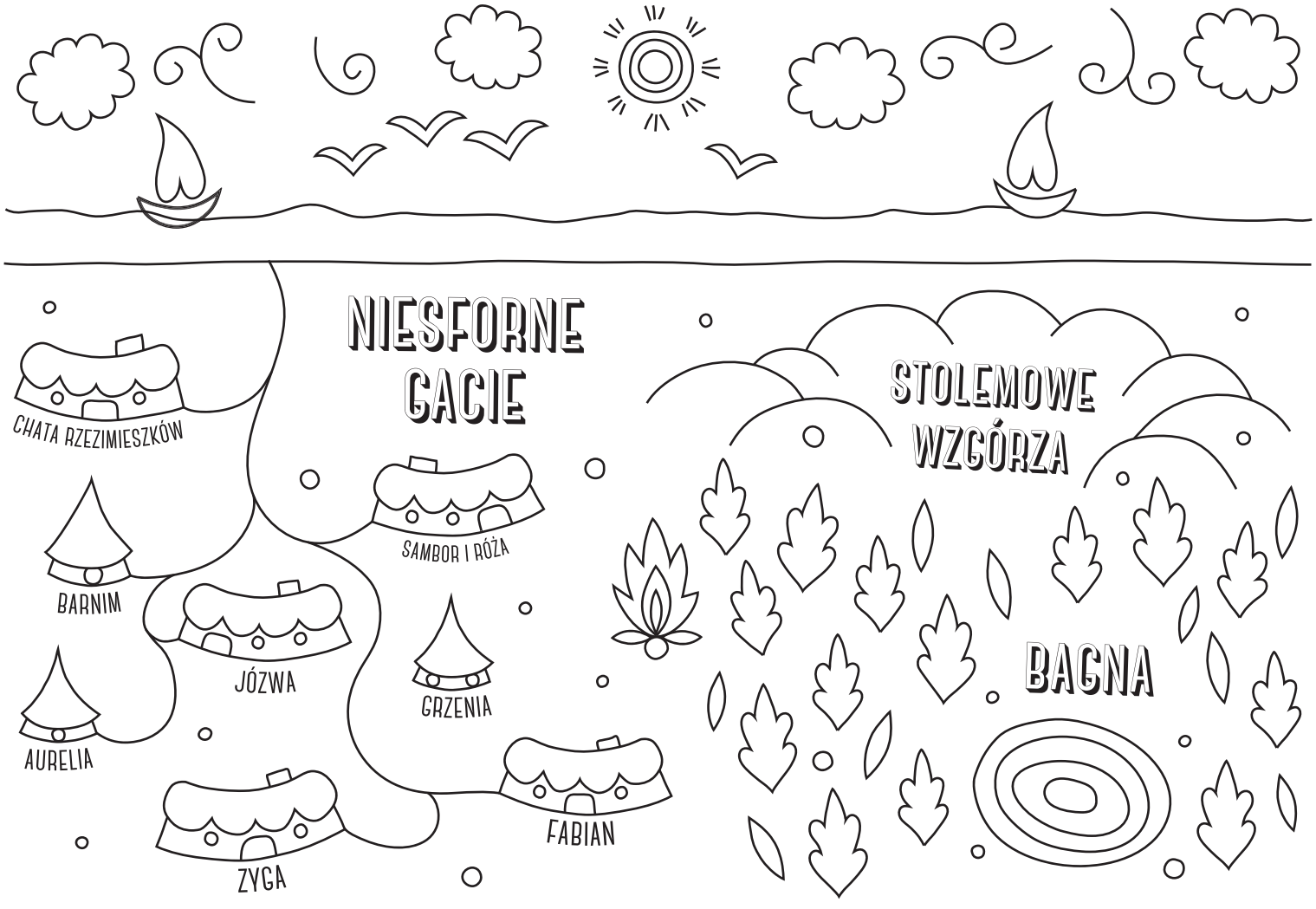
Mòra, jakô dëszi nocą,
czej złé sniczi lëdzóm psocą

a Maniewid z Krôsniãtama
zajëmają sã skôrbama.

Gòscëtwą naj' Gòstk czestëje,
Jablón w ògrodach panëje.

Kòżden znóny z magie wszelczi
je pòstacją z Kaszëbôjczi.

tłum. Róman Drzéżdżón


NIESFORNE GACIE
STOLEMOWE WZGÓRZA
BAGNA
CHATA RZEZIMIESZKÓW
BARNIM
JÓZWA
AURELIA
ZYGA
SAMBOR I RÓŻA
GRZENIA
FABIAN



Anna Klara Jędrzejczyk

O tym, Jak Rugan w zaloty chodził

Dawno, dawno temu była sobie wioska o nazwie Niesforne Gacie. Z jednej strony otaczały ją łąki, z drugiej – rzadki las i wzgórza, na które mieszkańcy bali się chodzić. Przez środek wioski biegła droga prowadząca wprost nad morze i na piękną piaszczystą plażę.

Pewnego dnia nad morzem pojawił się wędrowiec. Ubrany był w lnianą koszulę i spodnie związane skórzanym pasem, nosił też zniszczone skórzane buty, które świadczyły o jego dalekich podróżach. Na cały jego majątek składały się: przewieszony przez ramię płócienny worek, sakiewka u pasa i cynowy kufel na sznurku, który podskakiwał przy każdym kroku. Zmęczony wędrowiec przysiadł na jednej z wydm, wyciągnął z worka skibkę chleba z gomółką sera i zaczął jeść. Lecz nie był na plaży sam. Nad samym brzegiem morza siedziała dziewczyna i rozczesywała swe piękne, długie, złociste włosy. Fale obmywały jej bose stopy. Ubrana w pięknie haftowaną białą koszulę i długą, kolorową spódnicę, na szyi nosiła potrójny sznur bursztynów.

Zawstydził się swojego wyglądu wędrowiec, przeczesał ręką zmierzwione przez wiatr siwiejące włosy. Z poskręcanej brody zmiótł okruszki chleba i sera. Nieznajoma nie zauważyła go, więc przypatrywał się jej dalej w ciszy. Gdyby nie strój, można by pomyśleć, że to morska panna przysiadła na plaży, tym bardziej że dziewczyna śpiewała równie pięknie. Wędrowiec zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Postanowił dowiedzieć się, kim ona jest. Zaczepił jednego z rybaków wracających z połowu dorsza i zapytał o piękną

złotowłosą dziewczynę ze sznurem bursztynów.

– O, toć to Bernadetta – odpowiedział rybak. – Najpiękniejsza panna w całej wsi, gburska córka. Jej ojciec, Zyga, ma największą checz we wsi. Byle komu nie odda jej za żonę. Powiadają, że dziewczyna w posagu kilka skrzyń dostanie, w tym jedną pełną złotych dutków.

– A gdzie mieszka ów Zyga? – dopytywał wędrowiec.

– Podle zakola Sporej Strużki. Najokazalsze obejście to jego.

Wędrowiec podziękował i pomaszerował do wsi. Chata była w istocie wielka, pod oknami kwitły malwy i słoneczniki, na podwórku przechadzały się tłuściutkie kury, a pod lipą siedział gospodarz i zażywał tabaki. Bernadetta z koszyczkiem pełnym muszelek wróciła właśnie z plaży i przemknęła przez furtkę do domu.

Gospodarz zauważył nieznajomego przy płocie.

– Co was tu przygnało? Chleba darmo nie rozdaję. – Zmierzył wędrowca wzrokiem od stóp do głów.

– Ja nie po chleb, a po rękę córki waszej, Bernadetty. Gdy ją ujrzałem, moje serce zabiło tak mocno, że wiem, iż nie będę szczęśliwy, póki jej nie poślubię.

Zyga wybuchnął gromkim śmiechem, a jego duży brzuch, który ledwo opasała koszula, podskakiwał do góry.

– Moją córkę? Ona warta samego księcia, a przynajmniej hrabiego, za bogatego kupca jej iść, a nie za biedaka. Co ty jej możesz dać?

– Cokolwiek zechce. – Wędrowiec wzruszył ramionami.



– A czymże się zajmujesz?

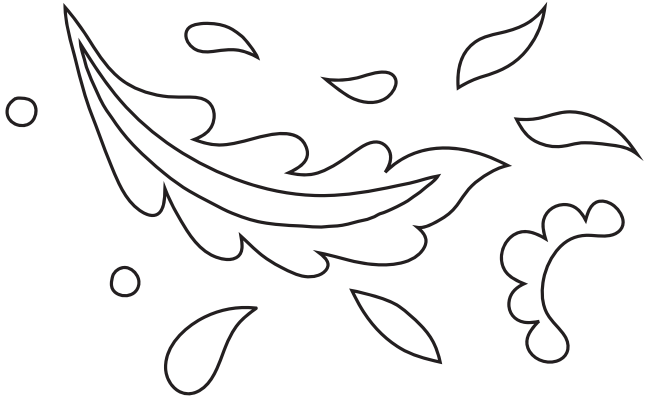
– Rzeźbię.

– W drewnie lipowym? Świątki i sprzęty domowe? – Gospodarz się skrzywił.

– Krajobraz. Nazywam się Rugan.

Zydze aż się oczy zaświeciły. Czy może to być, że taki gość zawitał do jego domostwa? Wydałby za niego córkę, siostrę i własną matkę, byleby tylko uzyskać korzyści, które właśnie przeliczał w myślach.

– Dobrze – odparł po chwili zastanowienia. – Zobaczę, czy jesteś godzien mojej córki. Jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, zadania te nie sprawią ci kłopotu. Mam dużo nieużytecznej ziemi. Stwórz mi na niej jezioro pełne ryb, łąkę pełną wonnych kwiatów i ziół oraz las pełen grzybów, jagód i zwierzyny łownej.



Rugan kiwnął głową i odszedł. Wyciągnął ręce przed siebie, przymknął oczy i zaczął tworzyć. Tam, gdzie była licha łąka, rozrosła się bujnie trawa. Pośród niej chabry i maki, złotookie rumianki i słodka koniczyna. Skowronki nad nią śpiewały z wysoka. Tam, gdzie Spora Strużka wypływała z Niesfornych Gaci, rozlało się wielkie jezioro. Czysta woda aż zachęcała do kąpieli. Raki ukrywały się przy szuwarach, a w głębinie przepływały płocie, leszcze i okonie, a nawet szczupak machnął ogonem. Na wschodzie, pod wpływem czarów Rugana powstały drzewa. Dęby stały w rzędzie z sosnami, świerkami i jodłami. Borowiki szlachetne, złote kurki i kolorowe maślaki ukrywały się w cieniu drzew. Pomiędzy nimi zaś krzaki jagód i dzikie maliny. Słychać było chrumkanie dzików i ryk jeleni.

Kiedy Zyga obszedł z przyszłym zięciem swoje tereny, zachwycił się tym, jak pięknie teraz wyglądały. Ile mu mogła przynieść zysków sama łąka, ryby z jeziora łatwiej łowić niż na burzliwym morzu, a las? Na zimę słodkich zapasów w słojach można będzie zrobić dla domowników, mięso zasolić i uwędzić, z pięknego drewna chatę większą zbudować albo łódkę lub dwie.

– Spełniłeś me życzenia, więc dam ci rękę mojej Bernatki – zgodził się Zyga łaskawie. – Możemy iść do niej, niech pozna swojego przyszłego małżonka.

Rugan nie posiadał się ze szczęścia. Życzenia Zygi nie były dla niego trudne do spełnienia, swojej wybrance przychyliłby bowiem nieba. Kiedy wracali do chaty gospodarza, siedząca na lipie Psotna Sroczka zaskrzeczała głośno:

– Głupi Rugan! W swaty do pustej panny uderza. Piękne ma lico i złote włosy, ale w głowie sieczka. Jej tylko siedzieć przy lusterku i obwieszać się klejnocikami, pożytku z niej żadnego!

Zyga nic nie powiedział, poszedł zawołać córkę i oznajmić jej, kto uderza w konkury. Bernadetta wyszła na podwórze, przyjrzała się Ruganowi, skrzywiła i tupnęła nogą.

– Za starego dziadygę nie będę szła za mąż. Wszystkie panny we wsi powinny mi zazdrościć męża, a tu nie ma czego! Żeby jeszcze majętny był, w pięknych strojach chodził! Niech sobie idzie precz!

Zyga wzruszył ramionami.

– U mej córki woli zamążpójścia nie ma. Nic na to nie poradzę. Dziękuję za dobre uczynki, które zrobiłeś, ale idź już sobie. Widać nie była ci pisana moja Bernatka.

Rugan zawrzał gniewem. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Nie mógł tej zniewagi puścić płazem, postanowił więc działać. Odszedł w kierunku pagórków leżących za bujnym już teraz lasem i poprosił o pomoc mieszkańców: płowowłosych i modrookich stolemów. Namówił ich, by pomścili jego krzywdę.

– Wyrwę wszystkie drzewa w lesie – ucieszył się Mocarny.

– Nawrzucam kamieni na łąkę – zawtórował mu Szybki.

– A ja zasypię całe jezioro czarną ziemią – dodał ochoczo młody Ptyś.

Następnego dnia Zyga wyszedł przed dom i oniemiał. Łąka, jeszcze wczoraj piękna i pachnąca, dziś pełna była kamieni i głazów, a śmierdząca, jakby pasło się na niej całe stado krów. W miejscu pięknego jeziora bulgotało bagnisko. A las… drzewa powyrywane z korzeniami porozrzucano, nie słyszał śpiewu ptaków, odgłosów zwierząt, grzyby i jagody wdeptano w ziemię. Zyga domyślił się, że to sprawka jego niedoszłego zięcia. Rwąc włosy z głowy, wrócił do swojej checzy. Tam zaś wpadł na pomysł, jak zaradzić swojej stracie.

To nadal moja ziemia – myślał – i wszystko, co na niej jest. Sprzedam drewno do tartaku, nada się na statki. I choć o tym nie wiedział, z tej jego chytrości coś dobrego przyszło. Na ziemi zamienionej przez Rugana był bowiem ongiś stary cmentarz pomarłych na zarazę. Tam to dziatki niewinne pochowano. A kiedy dusza dziecka złączy się z wyrosłym na mogiłce drzewem, powstać może Klabaternik, istota niedużego wzrostu o płowej czuprynie i oczach jak kaszubskie jeziora głębokich i niebieskich. Opiekuje się on tym, z czego powstał. Ochroni statki, zadba o rybaków i żeglarzy, a komu lekcji udzielić trzeba będzie, drewnianym młotkiem głupoty z głowy wybije.





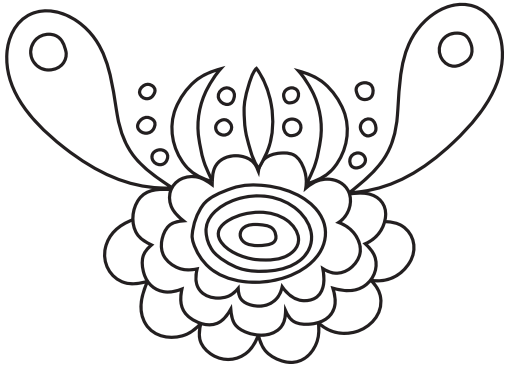


Magdalena Zawadzka-Sołtysek

O tym, jak Klabaternik piratów przechytrzył

Pewnego dnia na wybrzeże w pobliżu Niesfornych Gaci przypłynął z dalekiego Miasta piracki statek o nazwie Zgniły Sztokfisz. Jego kapitanem był Benedikt, najgorszy rzezimieszek, o jakim słyszały morza. Podobno miał on magiczną moc, która sprawiała, że każdy sterowany przez niego statek płynął szybciej niż jakikolwiek inny okręt na świecie, a załogi łupionych żaglowców poddawały mu się bez walki. Ze swoją piracką zgrają bez opamiętania grabił wybrzeże w okolicy Miasta. W końcu udręczeni kupcy uzbroili swe statki i wysłali je w pogoń za bandą Benedikta. Kilka razy mało brakowało, a piraci zostaliby pojmani, a potem wtrąceni do lochu. Rozgoryczony Benedikt postanowił udać się w przyjaźniejsze rejony i pożeglował ku Niesfornym Gaciom.

Okolica wyglądała na bogatą, więc piraci znów zaczęli rabować napotkane statki. Szło im tak dobrze, że pewnego razu pokusili się o większy łup. Napadli na korab, który aż ociekał złotem i rzeźbionymi zdobieniami. Zgniły Sztokfisz był już starym żaglowcem, potrzebującym nowego osprzętu. Piraci zrabowali więc nowe liny, żagle, a nawet rzeźbiony bukszpryt, który zdobił dziób statku kupieckiego. Zadowoleni z siebie rabusie zamontowali to wszystko na swojej łodzi. Gdy skończyli, wyruszyli na kolejny podbój. Długo szukali celu, który byłby godny ataku. Mijał dzień za dniem, a tu jakby zniknęły wszystkie żaglowce. Piratom nudziło się okrutnie, siadali więc na pokładzie i grali w karty, zupełnie nie troszcząc się o Zgniłego Sztokfisza.



Pewnego razu, gdy po całym dniu nieróbstwa wszyscy się pospali, nagle w środku nocy rozległ się przeraźliwy huk. Coś się tłukło po statku tak potwornie, że piraci skoczyli na nogi jak oparzeni, a nie mogąc znieść hałasu, padali na kolana i zakrywali uszy dłońmi.

– Do stu tysięcy spleśniałych makreli! Co się tu wyprawia?! – ryknął wyrwany ze snu Benedikt. – Dosyć tego!

Na to odezwał się jakiś skrzekliwy głos:

– Czy dobrze słyszałem? Ktoś ma już dość hałasu?

Na burcie siedział sobie niewielki człowieczek. Miał gęstą, siwą brodę zjeżoną jak szczotka, duży kapelusz ozdobiony bursztynem, a w dłoni trzymał ogromny, drewniany młot. Rozjuszony Benedikt przyskoczył do tajemniczego intruza.

– Ktoś ty? Skądeś się tu wziął? – warknął wściekle.

Karzełek uśmiechnął się nieco złośliwie.

– Ukradliście mnie sobie. Jestem Klabaternikiem i spałem w bukszprycie, który zabraliście z mojego statku. Teraz nie mam wyjścia – muszę się opiekować tą krypą. Bierzcie się więc do pracy, bo lenistwa i brudnego pokładu nie cierpię najbardziej na świecie!

– Precz mi z oczu! – ryknął wściekły Benedikt i chciał zepchnąć Klabaternika do morza, ale ten zniknął.

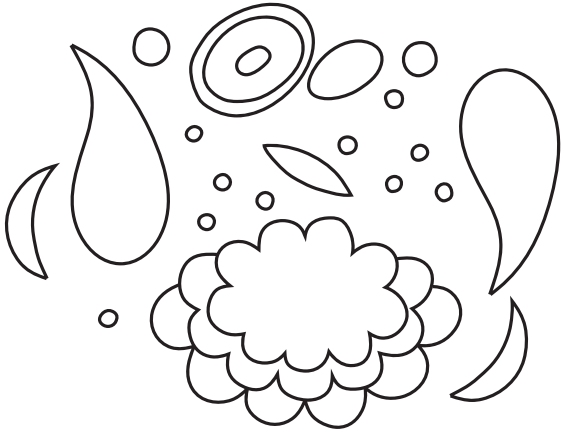
Następnego dnia powiał lekki wietrzyk, więc piraci podjęli żeglugę. Wypatrzyli też na horyzoncie statek kupiecki z dalekiego kraju. Szczęśliwi, że wreszcie los im sprzyja, rozpoczęli pościg, a dzięki magicznej mocy Benedikta mknęli chyżo po falach. Gdy już, już doganiali kupiecki żaglowiec, wiatr nagle ucichł. Żagle zwisały smętnie i rozległ się okrutny łomot. Zupełnie jakby ktoś walił ciężkim młotem o pokład i burty. Piraci znów padli na kolana i zakryli dłońmi uszy, nie mogąc znieść harmidru. Tymczasem bogaty statek kupiecki odpłynął bezpiecznie w swoją stronę.

– Przestań, do stu tysięcy beczek zjełczałego tranu! – wrzeszczał Benedikt, bo nawet on nie znał czaru, który mógłby zaradzić hałasowi.

– Zadbajcie o statek – powiedział Klabaternik, zjawiając się wśród załogi. – Wyszorujcie pokład! Uporządkujcie liny! Naprawcie zapasowe żagle.

– Ani myślę cię słuchać! – odparł Benedikt, który uważał, że tylko on jeden ma prawo rządzić na statku.

Karzełek jak poprzednio uśmiechnął się tylko złośli-



wie i bez słowa zniknął. Od tego czasu za każdym razem, gdy Zgniły Sztokfisz i jego załoga zaczynali ścigać statek, który chcieli złupić, Klabaternik krzyżował im plany. Wiatr cichł, a ogłuszający zgiełk, który karzełek robił za pomocą swojego młota, paraliżował załogantów i sprawiał im ból.

W końcu sytuacja zrobiła się dramatyczna. Piraci nie zdobywali łupów, nie mieli więc pieniędzy na zabawy w karczmach. Nie mogli też kupić ani ukraść jedzenia. Z każdym dniem chodzili coraz bardziej rozdrażnieni. Na pokładzie wybuchały waśnie i bójki, aż wreszcie głód zmusił ich do działania. Postanowili posłuchać Klabaternika. Zabrali się za porządkowanie pokładu. Wyszorowali do czysta jego deski, pozwijali liny, wyczyścili beczki, a nawet kambuz. Dzięki temu znaleźli dawno zapomniane sieci, które przy okazji porządnie naprawili.

Kiedy spróbowali podnieść żagle, okazało się, że tym razem wiatr chętnie je wypełnił. Załoga obrała kurs na bogate w ryby łowisko, a żaden hałas nie niepokoił żeglarzy. Wydawało się nawet, że tajemniczy Klabaternik im sprzyjał, bo połów mieli wspaniały i choć Benedikt chodził zły jak gradowa chmura, nawet on nie odmówił zjedzenia smażonej ryby. Tej nocy wszyscy poszli spać z pełnymi brzuchami, a ich snu nie zakłócił żaden rumor.

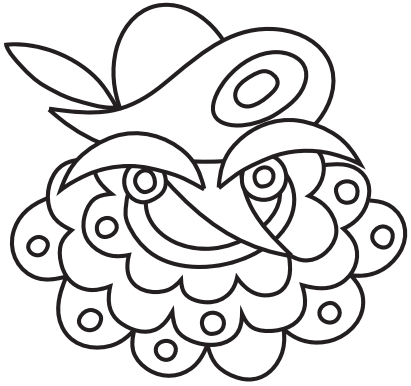
Wiodło im się coraz lepiej, choć obrażony Benedikt ani myślał brać się do pracy, a bogatych statków wartych złupienia nie mogli przez Klabaternika grabić. Zaczęli łowić coraz więcej ryb. Mieli ich tak dużo, że nie wiedzieli, co z nimi robić. W końcu nie mogli zjeść wszystkich.

– Sprzedajmy je! – zaproponował ktoś z załogi.

Plan uznano za dobry i niebawem piraci cieszyli się godziwą zapłatą, dzięki której mogli kupić świeżą żywność, wodę pitną, a nawet nowe ubrania.

– Co z was za wyleniałe, chuderlawe mewy, że tak się dajecie wodzić za nos! – wściekał się Benedikt, ale morscy rozbójnicy nic sobie z tego nie robili, bo kapitan dawno pozostawił ich samym sobie, zainteresowany jedynie wylegiwaniem się na koi i jedzeniem, którego nawet nie pomagał zdobyć.

Od tego dnia piraci codziennie wypływali na połów i za każdym razem im się szczęściło, więc wkrótce mogli godnie wyposażyć swój statek, który zmienił się nie do poznania. Był

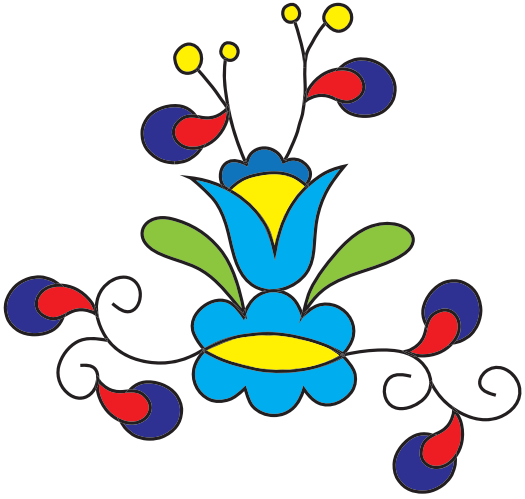


czysty i porządnie pomalowany, a załoganci dbali o niego, bo zdawało się, że i statek dbał o nich.

– To jest po prostu nie do zniesienia! – narzekał Benedikt, z którym nikt się już nie liczył, za to piraci, którzy byli teraz rybakami, kazali mu brać się do pracy.

Tego było Benediktowi za wiele. Pewnego dnia, gdy Zgniły Sztokfisz przybił do nabrzeża w Niesfornych Gaciach, kapitan zszedł na ląd i pomaszerował przed siebie, byle dalej od statku i morza. Tymczasem zadowolony z siebie Klabaternik dbał o pracowitą załogę, której wiodło się wspaniale. Benedikt natomiast włóczył się po wybrzeżu, szukając godnej siebie bandy rabusiów. Nigdy jednak nie wrócił na morze i nie zrozumiał, dlaczego został sam.





Sławomir Mikołajczyk

Jak Purtek Pasibrzucha przepędzał

Zdarzyło się we wsi Niesforne Gacie, że stolem Pasibrzuch zawędrował w te strony i nie mogąc odnaleźć drogi powrotnej do domu – został na dłużej. Pasibrzuch był olbrzymem wyższym niż drzewo, a do tego z ogromniastym brzuszyskiem. Wiecznie głodnym obżartuchem. Biegał po okolicznych polach, sadach i pastwiskach, krzycząc:

– Jeść! Chcę jeść! Jestem nienażarty nie na żarty! – Po czym zjadał wszystko, co mu wpadło w ręce.

Mieszkańcy wioski byli przerażeni, bo Pasibrzuch pałaszował tyle, że dla nich już nic nie zostawało. Wszyscy więc zebrali się pewnego dnia przed chatą gospodarza Zygi i zaczęli debatować nad tym, co począć z tym nieszczęściem.

– Nie ma innej rady – powiedział Zyga. – Trzeba go przepędzić.

– Prawda! Ale jak to zrobić? – zapytał chudy Maciej.

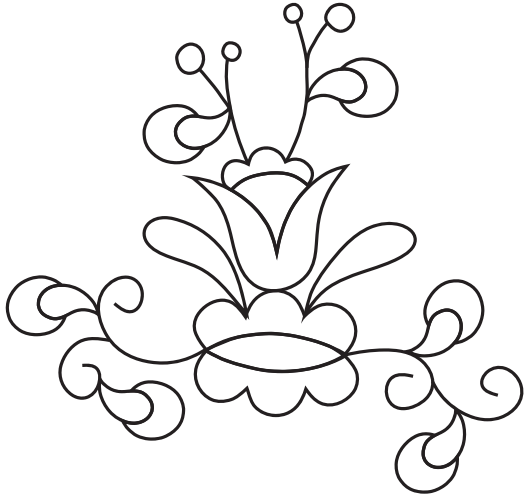
Zebrani drapali się po głowach, wzruszali ramionami, spoglądali jeden na drugiego, ale nikt niczego nie wymyślił.

– Już wiem! – zakrzyknął Zyga. – Trzeba wybrać śmiałka, który tego dokona.

Wszyscy pokiwali zgodnie głowami i spojrzeli na Fabiana. Ale Fabian akurat marzył o pięknej Aurelii i był nieco rozkojarzony.

– Fabianie! – Zyga przywołał chłopaka. – Jesteś już prawie mężczyzną. Czas, abyś się wykazał. Przepędź z naszej wioski stolema szkodnika!

Fabian rozejrzał się po wpatrzonych w niego twarzach, podrapał po swojej jasnej czuprynie, pomyślał o błękitnych



oczach Aurelii i rzekł:

– Niech tak będzie! Przepędzę Pasibrzucha!

Zadowoleni mieszkańcy poklepali go po plecach i rozeszli się do swoich zajęć. Fabian zaś wrócił do chaty i zaczął szykować się do drogi. Do torby spakował hubkę i krzesiwo, na plecy narzucił ciepłą kurtkę i wyszedł żegnać się z ojcem. Ten czekał na niego przed domem.

– Masz już pomysł, jak przepędzić Pasibrzucha, mój synu? – zapytał.

– Tak, ojcze. Pamiętasz, gdy będąc małym chłopcem, zgubiłem się w lesie? Spotkałem wtedy Purtka i wystraszyłem się jak nigdy w życiu. Znajdę go więc teraz i namówię na to, aby przepędził dla nas stolema.

Zatroskany ojciec pokiwał głową i wręczył Fabianowi mały woreczek.

– W tym woreczku, mój synu, znajduje się magiczna pszenica, która jest przekazywana w naszej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Nigdy nikt nie musiał jej używać, ale ty ją weź – może ci się przyda.

Uściskali się serdecznie i Fabian dziarskim krokiem ruszył w drogę. Szedł ścieżką pośród drzew, a gdy słońce pochyliło się ku zachodowi, poczuł się zmęczony i zaczął się rozglądać za jakimś miejscem na nocleg. Wtem zwietrzył zapach ogniska, a chwilę później aromat gotowanej zupy. Kroczył przez ciemny las, kierując się zapachami, aż zobaczył między drzewami blask ognia. Podszedł bliżej. Nad paleniskiem, na stojaku, wisiał parujący kociołek, z którego wydobywały się smakowite wonie. Fabianowi ślinka napłynęła do ust. Rozejrzał się wokoło, lecz nikogo nie dostrzegł. Niepewnie podszedł do ogniska.

Wtem dobiegł go trzask łamanych gałęzi. Fabian zadrżał ze strachu. Na polanę zza krzaków wyszedł rogaty, niski i pękaty stwór porośnięty czarną szczeciną. Demon szedł, kulejąc, bo jedną nogę miał końską, a drugą – kurzą. Do tego podwinięty ogon i długie pazury. Fabian zapomniał już, jak ów Purtek wygląda i teraz nie mógł się ruszyć ani rzec choć słowa. Maszkara patrzyła na niego swoimi czarnymi oczkami.

– Kim jesteś?! – zakrzyknął stwór, a kiedy otworzył paszczę, okazało się, że zamiast języka ma wijące się węże.



– Fa… fa… Fabian – jąkał się z przestrachu chłopak.

– Witaj na Bąkowej Polanie, Fabianie. Ja nazywam się Purtek Purtkowski. Widzę, że skusił cię zapach mojej pierdzizupki – zaskrzeczał demon.

– Pier… pier… pierdzizupki? – Fabian nie mógł się uspokoić.

– Grochówkę gotuję. – Purtek wskazał na kocioł. – Najlepszą na Kaszubach. Skosztujesz?

Fabian pokiwał ochoczo głową, gdyż był już bardzo głodny. Zasiedli przy ognisku i zaczęli jeść. Gościnność Purtka sprawiła, że Fabian przestał się go bać i opowiedział mu o kłopotach, jakie mieszkańcom Niesfornych Gaci sprawiał Pasibrzuch. Poprosił Purtka o pomoc w przepędzeniu stolema ze wsi.

– Stary już jestem – odrzekł Purtek i opatulił się grubym, zielonym szalem. – Nie chce mi się nigdzie łazić.

– To proszę sobie przypomnieć te czasy, kiedy był pan młody i się panu chciało – powiedział błagalnie Fabian.

– Kiedyś to były czasy… Jak byłem młody, to kaszlałem, żeby zagłuszyć bąki, a teraz na starość muszę puszczać bąki, żeby zagłuszyć kaszel. – Purtek się roześmiał.

Fabian posmutniał, bo nie miał innego planu na uratowanie wioski. Purtek zobaczył to i powiedział:

– Jutro rano dam ci odpowiedź.

Następnego dnia Fabian wstał wcześnie i długo czekał, aż Purtek się obudzi. Ten wstał wreszcie, przeciągnął się i głośno pierdnął. Fabian aż podskoczył, a czarny kot, który spał przy ognisku, zamiauczał przeraźliwie i uciekł jak oparzony. Purtek roześmiał się na to jak szalony i pociągnął nosem.

– Uhuhu, grochóweczka już działa – powiedział zadowolony.

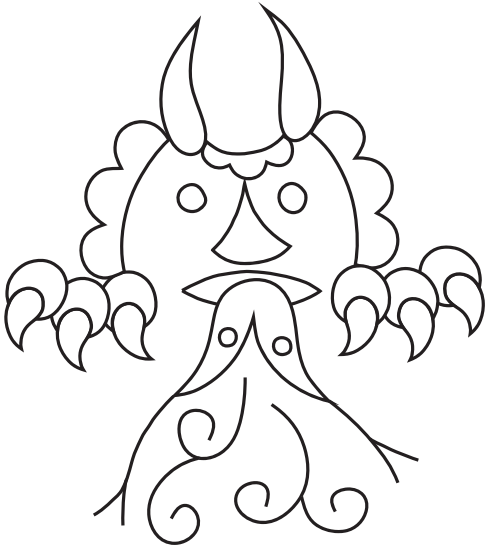
– O tatulu – jęknął Fabian, zakrywając nos przed falą smrodu.

– Przemyślałem twoją prośbę, chłopcze. Pomogę ci, ale pod jednym warunkiem.

Fabian przez ściśnięty nos odpowiedział:

– Zrobię wszystko, panie Purtku.

– Musisz odzyskać dla mnie broszkę pierdzioszkę.



Psotna Sroczka, która mieszka na pobliskim drzewie, ukradła mi ją i trzyma w swoim gnieździe. Stary już jestem, schorowany i popatrz na moje nogi nie do pary. Sam nie dam rady się tam wspiąć.

Fabian westchnął ciężko, bo drzewo, na którym Psotna Sroczka uwiła sobie gniazdo, było bardzo wysokie. Nie miał jednak wyboru. Na początku wspinanie szło mu dobrze, ale im wyżej się wdrapywał, tym było trudniej. W pewnym momencie spojrzał w dół i zakręciło mu się w głowie. Złapał się mocno gałęzi i zamknął oczy.

– Dasz radę, Fabian – powiedział do siebie. – Musisz uratować wioskę.

W końcu zobaczył gniazdo sroki, w którym dostrzegł złotą broszkę. Wyciągnął po nią rękę, ale Sroczka, siedząca w swoim domku, dziobnęła go.

– Aua! – krzyknął z bólu Fabian.

Wyciągnął ponownie dłoń i ponownie został udziobany. Łzy stanęły Fabianowi w oczach. Już chciał zrezygnować, ale przypomniał sobie o magicznej pszenicy, którą dostał od ojca. Sięgnął do torby i wydobył woreczek. Sypnął pszenicą w gniazdo. Sroczka od razu zajęła się zjadaniem ziaren. Fabian tylko na to czekał. Szybko chwycił broszkę, schował ją do torby i zszedł z drzewa. Na dole wręczył zdobycz prawowitemu właścicielowi. Purtek przypiął ją sobie do zielonego szala. Broszka była duża, złota i miała kształt kwiatu róży.

– Broszka pierdzioszka – powiedział z zadowoleniem Purtek. – Dotrzymałeś swojej części umowy, Fabianie, więc i ja dotrzymam swojej.

Fabian i Purtek ruszyli do Niesfornych Gaci. Już z oddali słyszeli krzyki Pasibrzucha. Na mostku nad rzeczką zobaczyli wielkiego, grubaśnego stolema, który chodził wokół w poszukiwaniu jedzenia. Wszyscy mieszkańcy pozamykali chaty na cztery spusty.

– Jestem nienażarty nie na żarty! Dajcie jeść albo powywracam wasze checze! – krzyczał Pasibrzuch.

Purtek zarzucił swój zielony szal na szyję, poprawił broszkę i wystąpił naprzeciw Pasibrzucha.

– Hej, bambaryło! – krzyknął. – Zjedz to!

Odwrócił się do stolema tyłem, nadął się, sprężył i jak nie pierdnie przepotężnie… Zahuczało, aż echo poszło. Dookoła rozszedł się fetor nie do wytrzymania.

– A co to?! – zagrzmiał Pasibrzuch. – Kim ty jesteś, kosmaty kurdupelku?!

– Jestem Purtek, a ty zasłużyłeś na karnego bąka!

Purtek nadął się jeszcze bardziej niż za pierwszym razem. Pruknął tak głośno, jakby piorun strzelił. Odór był nie do opisania.

– Bitwa na bąki! – zakrzyknął radośnie Pasibrzuch, a potem sam puścił głośnego purtka. – Buhahaha, ale zabawa!

Purtek spojrzał na Fabiana i wzruszył ramionami.

– To nie działa, chłopcze. Masz jakieś inne pomysły?

Fabianowi aż oczy łzawiły od tych latających bąków. Nagle przypomniał sobie o magicznej pszenicy. Wydobył z torby woreczek, ale zobaczył w nim tylko małą polną myszkę. No tak, przecież całą magiczną pszenicę zjadła Psotna Sroczka! Zrezygnowany Fabian tupnął nogą ze złości i rzucił woreczek na ziemię. Wtedy wyskoczyła z niego myszka i stanęła zdezorientowana, rozglądając się na boki.

– Aaaaa, ratunku! – Na jej widok Pasibrzuch aż podskoczył. – Zabierzcie to ode mnie! – wrzasnął przerażony i zaczął uciekać, aż ziemia się trzęsła. Biegł przez pola, przeskoczył rzeczkę i zmykał w las, aż mieszkańcy wioski stracili go z oczu. Wtedy z chałup zaczęli wychodzić ludzie, wiwatując ze szczęścia. Fabian otarł łzy z oczu i rozejrzał się za Purtkiem, ale nigdzie nie było go widać.

– Uratowałeś wieś, Fabianie – powiedział Zyga, podając mu rękę. – Byłeś odważny i stawiłeś czoła niebezpieczeństwu. Jesteś naszym bohaterem.

Fabian się rozpromienił. Udało mu się przepędzić Pasibrzucha i zdobyć uznanie całej wioski. Czy Aurelka to widzi? Mężczyźni podrzucali Fabiana w górę, a cała wieś wiwatowała na jego cześć. Od tego dnia nikt w Niesfornych Gaciach już nigdy nie chodził głodny.





Grzegorz Bryszewski

O olbrzymiej kłótni

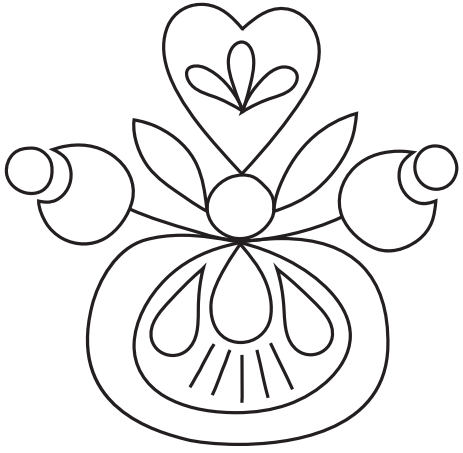
Wcale nie tak dawno temu, bo niewiele wody od tego czasu upłynęło, i dosyć blisko, bo na wzgórzach obok Niesfornych Gaci, mieszkały sobie olbrzymy zwane stolemami. Te całkiem rozumne stwory różniły się od nas wzrostem, bo najwyższe z nich mogły chodzić po dnie morza z głową wystającą na powierzchnię. Odróżniał ich też wygląd: miały żółtą skórę, pokaźne mięśnie, surowe rysy twarzy. Olbrzymy były niewiarygodnie silne i lubiły się tym przechwalać – demonstrowały swoją moc, wyrywając drzewa z korzeniami i rzucając głazami na odległość. Mieszkańcy Niesfornych Gaci słyszeli o złośliwych i okrutnych stolemach mieszkających gdzieś na wschodzie, ale niespecjalnie się ich bali.

Wyjątkowo słonecznego kwietniowego wieczoru wieloletnia zgoda między ludźmi z Niesfornych Gaci a stolemami zawisła jednak na włosku. Wszystko z powodu Pasibrzucha, który odszedł ze stolemowej rodziny w nieznane.

Jego mama, stolemka Smukła, najpierw wypytała wszystkie olbrzymy o to, dokąd mogła udać się jej pociecha, a później zwołała mieszkańców na naradę. Spotkanie olbrzymów zorganizowano obok wejścia do groty i leżącego tam Nestora. Ten wiekowy stolem, dawno temu ranny, leżał i powoli zamieniał się w kamień. Bo właśnie w ten sposób, spokojnie i w zgodzie z naturą, stolemy kończyły swój żywot.

Naradę rozpoczęła zaniepokojona Smukła:

– Musimy znaleźć Pasibrzucha. Jeśli poszedł do Niesfornych Gaci, ludzie mogą mu zrobić krzywdę.



– Nic nie róbmy. Pewnie niedługo wróci – poradził Jasny, olbrzym o wyjątkowo jasnej skórze, znany ze swojego spokoju i niechęci do wszelkich działań. Kilku olbrzymów żwawo mu przytaknęło, ale potem odezwał się Poważny:

– A pamiętacie, co się stało z Porywczym i Wybuchowym? – spytał z wyrzutem. – Musieliśmy ich wysłać do kuzynów na południu kraju, żeby uniknąć zemsty ze strony wieśniaków. To poważna sprawa, trzeba więc wymyślić coś mądrego – podkreślił olbrzym.

Tym razem wszyscy się zgodzili. Dobrze pamiętali, jak ich dalecy kuzyni spróbowali za pomocą zapasów rozstrzygnąć zaciekłą kłótnię o to, kto z nich jest najsilniejszy. Starsze stolemy próbowały im wybić ten pomysł z głowy, ale pełni energii młodzieńcy zorganizowali pojedynek w jakimś ustronnym miejscu. Zapasy Porywczego i Wybuchowego mimo całonocnej walki zakończyły się remisem i ogromnymi zniszczeniami terenu, co rozwścieczyło mieszkających w okolicy ludzi.

Na środek wyszedł teraz Mocarny. Napiął swoje pokaźne mięśnie, spojrzał po zgromadzonych, aby upewnić się, że każdy z nich zauważył ten władczy gest, po czym przemówił:

– Ja jestem tutaj najsilniejszy. I ja zaraz wyruszę z wyprawą do tych nędznych ludzi, by uwolnić uwięzionego Pasibrzucha! Kto jest ze mną?!

Nie doczekał się jednak entuzjazmu. Wokół rozległy się pomruki:

– Uwięzionego?

– Wyprawa?

– Najsilniejszy? Bzdura. To ja wygrywam w rzucaniu głazów na odległość! O! – odparł Szybki i do swojej wypowiedzi dorzucił najlepszą zniewagę w swoim repertuarze – solidne pierdnięcie.

Rozległy się śmiechy. Mocarny zagotował się ze złości i głośnym rykiem zaszarżował na Szybkiego. Ten jednak czekał na taki atak. Zgrabnie odstąpił na bok i podstawił rozpędzonemu olbrzymowi nogę. Mocarny upadł na ziemię z głośnym hukiem. Szybki usiadł mu na plecach i zawołał:

– Niech ktoś mu siądzie na nogach, żeby mnie nie zrzucił.

Poważny zaoferował pomoc, ale dalszą walkę przerwał głośny krzyk Smukłej:



– Nestor się poruszył!

Zaciekawione stolemy zastygły. Stolemka nachyliła się nad ustami Nestora, poprosiła o ciszę i uważnie nasłuchiwała.

– Ssssss – powiedział wiekowy olbrzym. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. – Strzelali do mnie z armaty. – Nestor ruchem oczu wskazał swoją poszarpaną i coraz bardziej skamieniałą lewą dłoń. Wysiłek tak bardzo go zmęczył, że chwilę potem zamknął oczy i znieruchomiał.

– Phi! Przecież to każdy wie. To nic nowego – skomentował Ptyś, jeszcze młody, zaledwie siedemdziesięcioletni.

– Okaż trochę szacunku do starszych – odpowiedziała jego matka i podkreśliła uwagę solidnym klepnięciem w plecy. Mocarny zaśmiał się głośno i beknął siarczyście. Zezłoszczony Ptyś spojrzał na niego i gniewnie zaryczał:

– A Mocarny zabrał nam w nocy garniec złota!

Czerwone ze wstydu oblicze oskarżonego było ewidentnym przyznaniem się do winy.

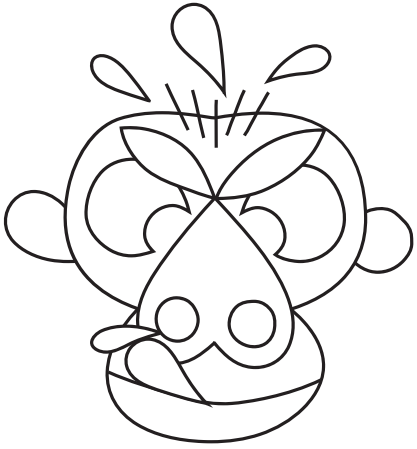
– Bić złodzieja! – krzyknęła mama Ptysia i rzuciła się, by okładać Mocarnego. Po trzech celnych ciosach do walki dołączył Szybki, który zaszarżował głową jak byk. Niecelnie.

Spróbował przytłoczyć Mocarnego nawałem ciosów. I to mu się nieźle udało, bo olbrzym skulił się i zasłonił głowę rękami. Ryknął głośno i odepchnął Szybkiego, który poleciał w tłum olbrzymów i przewrócił kilku z nich.

– Dwóch na jednego? Tak walczą tylko ludzie. Tak nie można! – oburzył się Poważny i stanął do walki po stronie Mocarnego.

Zakotłowało się. Walkę w zwarciu wybrały silne olbrzymy: Mocarny, Szybki i Poważny oraz Jasny, który przyłączył się do drużyny Szybkiego. Smukła z kilkoma innymi stolemkami walczyły z bezpiecznej odległości. Olbrzymki zgromadziły spory zapas głazów i rzucały nimi w Mocarnego i jego sojuszników. Szczególnie skuteczna był Smukła, która głośnymi krzykami reagowała na odgłosy pękających kości.

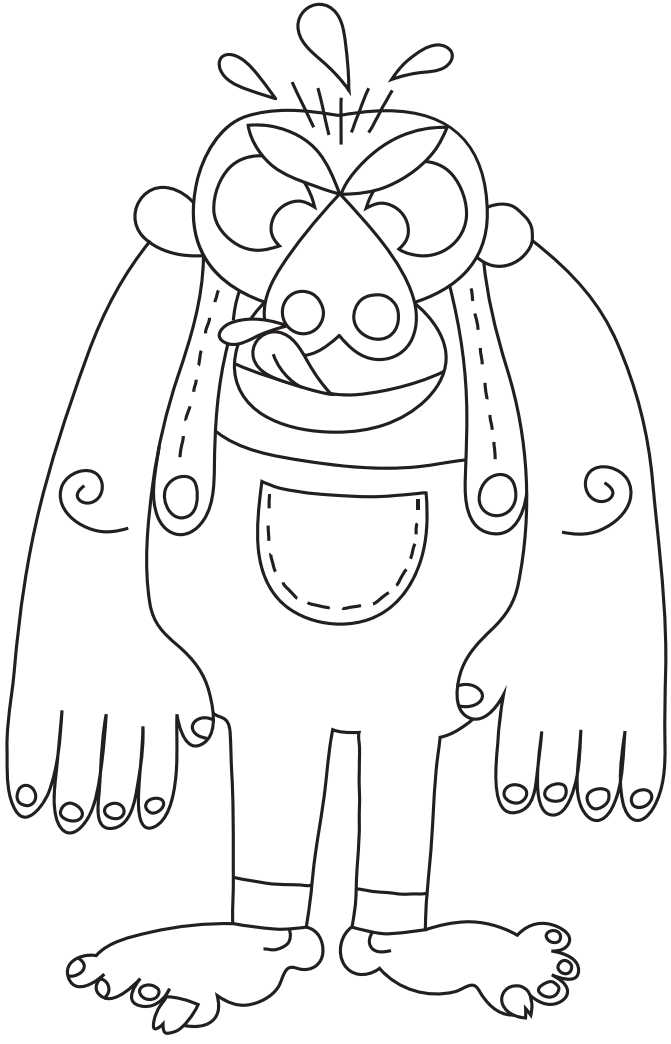
Do bójki ochoczo przystąpił także Ptyś, miłośnik walki podjazdowej. Zwinny olbrzym podbiegał do ekipy Mocarnego, puszczał smrodliwe bąki i odskakiwał, unikając kontrataków. Bójka szybko stała się chaotyczna, bo olbrzymi kurz towarzyszący bijatyce sprawiał, że niezbyt dobrze widział,



kto z kim walczy. Tej nocy nikt nie był pacyfistą, ale też siły okazały się wyrównane i żaden z naprędce powziętych sojuszy nie miał przewagi. Walka trwała niemal całą noc, tuż przed świtem zakrwawione, posiniaczone i zmęczone stolemy padły spać tam, gdzie wcześniej stały.

Właśnie takie pobojowisko zobaczył Pasibrzuch, gdy przyczłapał nad ranem do stolemowej braci. Zerwał małe drzewko, które rosło w pobliżu, i podrapał się nim po plecach. Drapaniu towarzyszyło niepokojąco rytmiczne burczenie w brzuchu.

– Ej! Halo! Obudźcie się! – krzyknął, a gdy nikt nie zareagował, dodał z nadzieją: – Jest coś do jedzenia?





Mariusz Hybiak

O tym, jak przepędzono Morę

Od jakiegoś czasu wielu mieszkańców wioski Niesforne Gacie cierpiało na bezsenność. Srel również to odczuwał, chociaż nigdy wcześniej nie miał takich problemów. Był on przyjaznym diabłem, często pomagał mieszkańcom wioski, ale miał też niestety demoniczny charakter – lubił płatać figle i dokuczać innym.

Pewnego dnia, idąc przez wieś, zauważył, że w jednym z niegdyś opuszczonych domów zamieszkał nowy gospodarz. Srel wypytał o niego dzieci z wioski i dowiedział się, że mieszka on tam od dawna, ma na imię Grzegorz i uprawia w ogródku maki, co wydało się diabłu dziwnie podejrzane.

Udał się więc Srel pod chatę, by przyjrzeć się gospodarzowi. Siedział ukryty w krzakach pod płotem całe popołudnie i obserwował Grzegorza w ogrodzie, aż znużyło go to zajęcie i zasnął. Śnił mu się przyjemny diabelski sen, a kiedy się obudził, gospodarza już nie było. Zastanowiło diabła, jak to jest, że gdy sypia w paprociach obok wioski, to ma złe sny, a gdy zasnął pod płotem Grzegorza, spało mu się przyjemnie. Przypomniał sobie, że mieszkańcy wioski chodzą ostatnio bardzo wymęczeni, nerwowi i nie wdają się w pogawędki z małym diabełkiem. Zwróciło też jego uwagę, że tajemniczy gospodarz jako jedyny wyglądał na wyspanego.

Srel dostrzegł powracającego z lasu gospodarza i próbował z nim porozmawiać, ale ten go zignorował, co bardzo zezłościło diabła. Wrócił więc w swoje paprocie na skraju Niesfornych Gaci, ale nie mógł zasnąć, bo słyszał dobiegający z najbliższej chaty jęk. Mieszkał tam młody Fabian, pogrom-



ca stolemów. Spojrzał w jego okna, by zobaczyć, co się dzieje w środku, i ujrzał unoszącego się nad śpiącym pokracznego ducha. Biedny Fabian okropnie się męczył, przyduszany przez zjawę w trakcie snu.

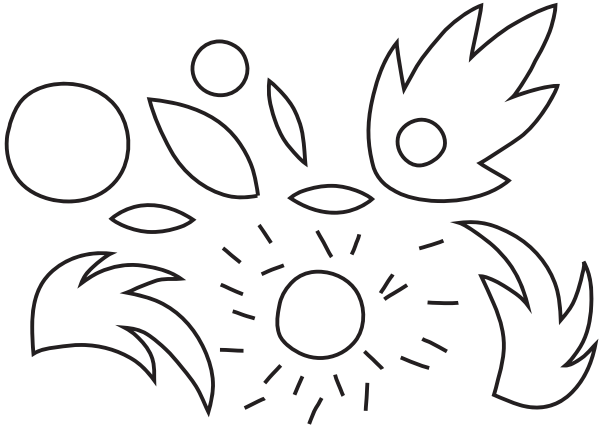
Diabeł chciał uciec, lecz dostrzegł, że pokraczny duch opuszcza chatę przez komin, powracając do właściciela, który nim sterował. Srel pobiegł za nim i ujrzał, że duch wchodzi przez uchylone okno chaty Aurelii. Teraz już wiedział, co się dzieje. Nieświadoma niczego dziewczyna, nawiedzona przez złego ducha, męczyła w nocy swojego ukochanego Fabiana!

Czyżby w Niesfornych Gaciach zalęgła się Mora? Być może Grzegorz to wieszczy albo łupi. To by wyjaśniało, dlaczego nikt go nie zna. To na pewno jakiś czarnoksiężnik – myślał diabeł. Wiedział, że musi coś zrobić, bo w przeciwnym razie Mora wszystkich zadręczy. Zaplanował więc, że obudzi mieszkańców i razem z nimi rozprawi się z tajemniczym gospodarzem. Bardzo podobał mu się ten pomysł, ale po chwili zdał sobie sprawę, że nikt mu nie uwierzy. Wszyscy uważali go za figlarza i nikt mu nie ufał. Jakże żałował teraz swoich żartów!

Następnego dnia postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Złego licho nie bierze! – pomyślał. Odczekał do wieczora i gdy słońce powoli już zachodziło, ruszył w stronę chaty Grzegorza. Zdziwił się, gdy ujrzał tajemniczego gospodarza w ogrodzie. Podszedł do płotu i opowiedział mu o wydarzeniach zeszłej nocy. O Biednym Fabianie i o duchu Mory, co mieszka w domu Aurelii. Grzegorz wysłuchał go w milczeniu, a gdy długo się nie odzywał, diabeł pomyślał, że go ignoruje. Już zamierzał ze złości wrócić do siebie, gdy nagle usłyszał spokojne słowa gospodarza:

– Podejdź bliżej, diabełku.

Poczuł się niepewnie, ale wszedł na podwórze i spojrzał Grzegorzowi prosto w twarz, by okazać, że się go nie boi. Bo i czego miałby się bać sam diabeł? Gospodarz złapał go za rękę i niespodziewanie sypnął mu w twarz tajemniczym pyłem. Srel przymknął na chwilę oczy. Gdy je otworzył, znajdował się w chacie Aurelii. Był dzień, a nie zapadający zmrok. Diabeł już chciał uciekać w te pędy, gdy stojący obok Grzegorz mocno go zatrzymał.



– Uspokój się! Nie widzą nas – wyjaśnił.

Do izby wszedł Fabian. Wrócił właśnie z lasu, gdzie znalazł kilka tajemniczych przedmiotów leżących na polanie. Psotna Sroczka przestrzegała go, by ich nie zabierał, ale od kiedy podziobała go w rękę i wyżarła jego magiczną pszenicę, Fabian jej nie ufał i nie zamierzał jej słuchać. Zabrał więc znalezione rzeczy jako podarunek dla Aurelii. Były to: gliniana miseczka, kubek i figurka przedstawiająca diabła – bardzo podobnego do Srela. Dziewczyna ucieszyła się z prezentów, a ten trzeci tak ją rozbawił, że położyła go na półce obok okna.

Po chwili znowu zrobiło się ciemno i wędrowcy wrócili na podwórze Grzegorza. Diabeł wiedział już, kim jest gospodarz.

– Ty jesteś Grzenia, opiekun snu! – krzyknął. – Ale czemu tutaj jesteś? Czemu zamieszkałeś z ludźmi?

– Nie musisz znać odpowiedzi na wszystkie pytania – odpowiedział mu spokojnie Grzenia. – Pokazałem ci przeszłość, chcesz, bym pokazał ci też przyszłość?

– Ale… – zaciął się Srel. – Wiedziałeś, po co przyjdę.

– Widzisz, te przedmioty pochodzą z innej wioski, która wcześniej była opętana przez Morę. Mieszkańcy wyrzucili je, ponieważ podejrzewali, że Mora jest w nich zaklęta. Myślę, że mieli rację i że duch mieszka w tej figurce.

Diabeł się naburmuszył – uważał, że to miseczka albo kubek są nawiedzone przez Morę, ale na pewno nie figurka diabła. Srel od razu zapragnął sprawdzić, w którym przedmiocie jest zaklęta Mora. Miał mało czasu, bo zbliżała się noc, mimo to postanowił zaryzykować. Jako pierwszą zaplanował rozbić miseczkę i przekonać się, czy miał rację. Następnego dnia spróbuje z kubkiem i wtedy będzie miał pewność. Bo przecież to nie może być figurka. Grzenia się myli, sądząc, że skoro to diabełek, to musi być w nim coś złego. A przecież to taka ładna figurka i taka podobna do mnie – myślał Srel.

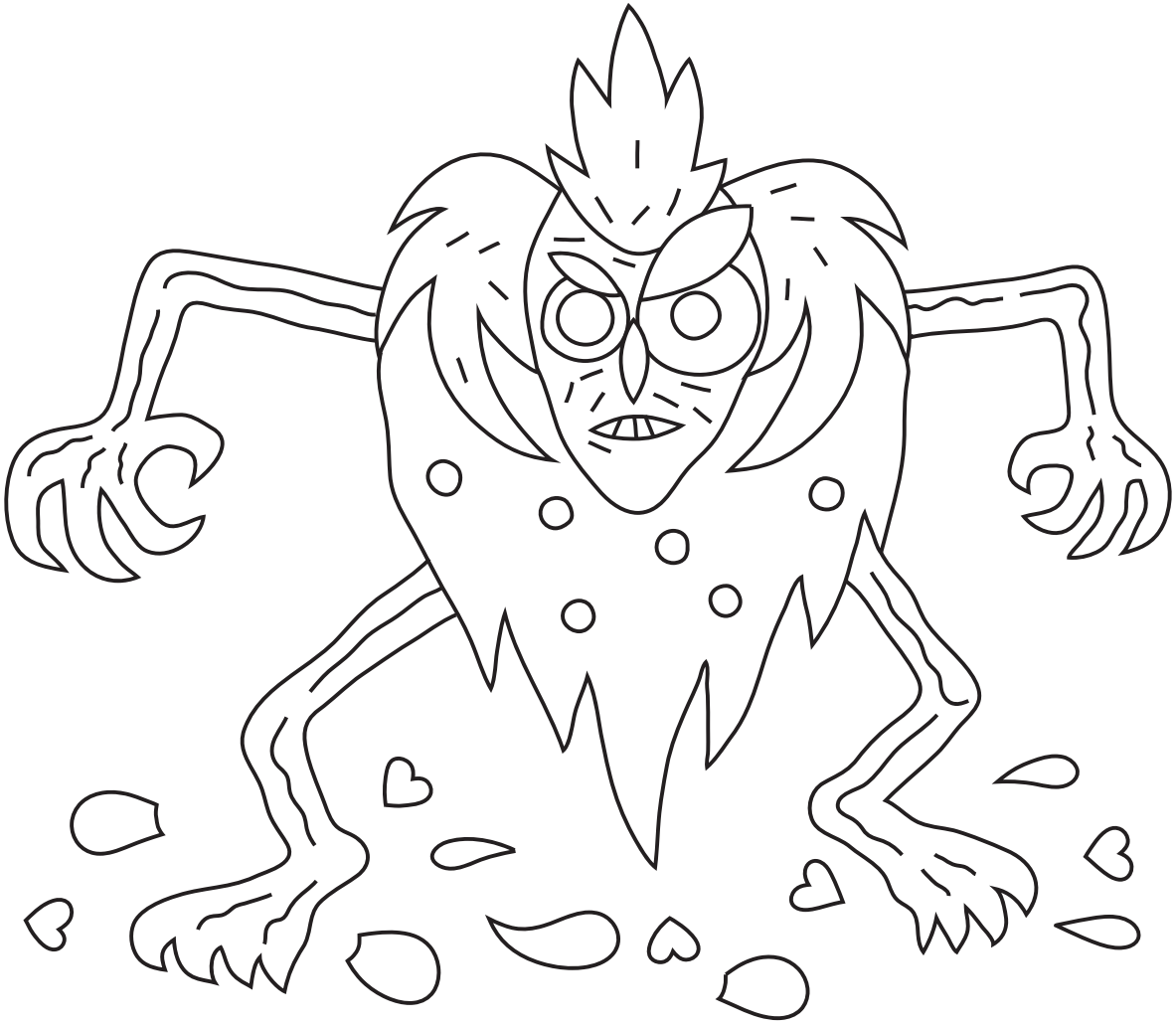
Niestety tej nocy nie udało mu się wejść do domu dziewczyny. Postanowił więc opowiedzieć wszystko Fabianowi, ale ten go szybko przepędził, krzycząc, że nie radzi mu szkalować dobrego imienia jego ukochanej. W końcu doszedł do wniosku, że skoro jest figlarzem, to musi skorzystać ze swoich zdolności i po prostu oszukać Aurelię – w końcu to mu najlepiej wychodziło. Podbiegł do chaty Aurelii, zastukał w drzwi i krzyknął:

– Fabian cię potrzebuje! Zdarzył się straszny wypadek! Musisz do niego biec! Pospiesz się!

Gdy tylko Aurelia usłyszała, że coś niedobrego przydarzyło się jej ukochanemu, od razu wybiegła z chaty. Niezauważony przez nią diabeł wskoczył do środka. Zobaczył na stole glinianą miseczkę. Chwycił ją szybko i cisnął o ziemię. Na środku pomieszczenia pojawiła się w powietrzu obrzydliwa i pokraczna postać. Znieruchomiał ze strachu. Mora zaczęła się do niego skradać, lecz on nie mógł się ruszyć i stał jak sparaliżowany. Jestem diabłem, do diabła! – rzekł sobie. Nie mogę bać się jakiejś tam Mory! Chwycił gliniany kubek ze stołu i rzucił nim w demona. Nie dosięgnął celu, ale trafił w półkę znajdującą się przy oknie. Rozbił kubek, półka się przechyliła i figurka spadła, roztrzaskując się na małe kawałki. Mora zawyła i znikła.

Wystraszony Srel, zamiast cieszyć się z pokonania Mory, wybiegł z chaty i uciekł do lasu. Diabeł nie zdawał sobie sprawy z faktu, że pomógł ludziom. Wierzył, że w kubku była zaklęta Mora, bowiem rozbił się w tym samym momencie co figurka, ale cóż z tego? Co powie Aurelia, gdy wróci do domu i zobaczy rozbite przedmioty podarowane jej przez Fabiana? Srel postanowił skończyć z płataniem figli i nie pokazywać się w Niesfornych Gaciach do czasu, gdy wszyscy zapomną, że to on porozbijał naczynia w domu Aurelii. I tylko Grzenia uśmiechał się tajemniczo, bo od tamtej pory mieszkańcy nie mieli już problemów ze snem.







Jakub Łukaczyński

Jak Barnim się wybrał po Maniewidowe złoto

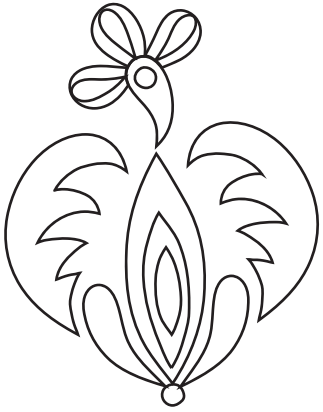
Bòlesk i jego syn Barnim z Niesfornych Gaci trudnili się wyplataniem wszelakich przedmiotów z wikliny i sosnowych korzeni. Stary Bòlesk lubił swoją pracę. Potrafił zrobić kosz, płot, a nawet wygodne krzesło. Młody Barnim jednak plecionkarskiej roboty szczerze nienawidził. Brakowało mu zręczności ojca, a przede wszystkim – cierpliwości. Każdego dnia snuł plany porzucenia Niesfornych Gaci i marzył o tym, żeby już nie musieć pracować!

Któregoś dnia, nie mogąc dłużej znieść ojcowskich pouczeń, Barnim postanowił przystać do bandy rzezimieszków, których hersztem był osławiony Benedikt, przed którym drżał każdy w wiosce. Przywódca szajki z drwiącym uśmiechem wysłuchał prośby Barnima o włączenie do bractwa złoczyńców, po czym rzekł:

– Jest u nas taki zwyczaj, żeby raz w roku zabijać koguta i krwią jego twarze smarować, a w ten sposób grzechy zmazywać. Z tymi grzechami to na nas raczej nie zadziała, ale rosołu bym pojadł – mówiąc to, bez żadnego ostrzeżenia wepchnął Barnimowi w dłonie siekierę i wskazał na pień nieopodal złodziejskiej checzy, na którym przycupnął dumny kogut.

Plecionkarz podkradł się na palcach i gwałtownie zamachnął. Kogut wzbił się w powietrze z bojowym okrzykiem, a potem zatopił dziób w czole Barnima. Chłopiec zapiszczał przeraźliwie. Zdołał co prawda odczołgać się i ocalił życie, ale do bandy już go nie chcieli.

– Jeszcze mnie będą błagać – wymamrotał sam do siebie.



Po prawdzie często coś tam sobie mamrotał, chodząc po wiosce załatwiać ojcowskie sprawunki. A że właśnie kiszki zagrały mu marsza, głodnym wzrokiem omiótł jabłka w sadzie sąsiadów. Odkąd dzieci z sadu przyłapały Barnima na kradzieży, zaczęły obrzucać go zgniłymi spadami. Ojciec uczył go, że kraść nie wolno, ale najwidoczniej nigdy nie był głodny. Jak już zaczynał wyplatać te swoje kosze, mógł cały dzień siedzieć bez jedzenia.

Barnim przeczołgał się pod płotem i właśnie miał sięgnąć po owoc, gdy jego uszu dobiegła dziwna rozmowa. Głosiki były cieniutkie, a rozmówcy ukrywali się pośród liści jabłoni. Nie dostrzegli go jednak i rozprawiali dalej:

– Dziś po zmierzchu?

– Jo. Pod starą olszą. Lepiej się nie spóźnijcie, bo Maniewid wam pokaże, gdzie raki zimują.

– A dużo będzie tych skarbów do przesuszenia?

– Do rana zdążymy, ale końskich grzyw tej nocy to już sobie nie pozaplatacie.

Ucieszył się Barnim i zakrył usta dłonią, żeby nie westchnąć z zachwytu. Stara olsza. Znał to drzewo, mijał je nieraz, chodząc na wierzbowisko. Ojciec radził mu nie zapuszczać się w tamte strony, wszak bagniska były zdradliwe, ale Barnim postanowił nie słuchać już rad ojca. To było idealne miejsce na ukrycie skarbów! Zaś mali rozmówcy z pewnością byli kraśniętami! Gdy tylko chłopak wrócił do domu, zaczął przygotowania do nocnej wyprawy. Godziny mijały nieznośnie powoli, lecz w końcu zapadła ciemność i w chacie słychać było tylko chrapanie starego Bòleska. Wtedy Barnim wykradł się cicho. Drogę do drzewa znał na pamięć. Był już blisko, gdy usłyszał brzęknięcia i dostrzegł odległy poblask latarni. Poczucie senności zupełnie go opuściło, a zimny pot zrosił mu czoło.

Na polanie, za starą olchą, Maniewid unosił wysoko lampę. Spowity w czarny płaszcz, z długimi, siwiejącymi włosami, przypatrywał się brodatym skrzatom z nieprzyjemnym grymasem. Kraśnięta sapały z wysiłku. Wtórował im dźwięk szczypiec przerzucających monety na blasze rozłożonej na żarzących się węglach. Nagle usłyszeli krzyk lelka.

– To Drobnosk daje nam znak! – pisnęły skrzaty. – Ktoś idzie!



Kraśnięta rzuciły się do ukrywania warsztatu. W grubych rękawicach zsypywały skarby do sakw. Schowały je następnie do dołu, który szybko przykryły siecią pokrytą liśćmi.

Kiedy Barnim ostrożnie wkroczył na polanę, zobaczył na niej tylko siwiejącego mężczyznę w płaszczu. Panowała zupełna cisza. Niechcący nastąpił na gałązkę, która trzasnęła pod butem. Nieznajomy gwałtownie się obrócił i syknął:

– Cicho. Zwrócisz na siebie uwagę Maniewida!

Przestraszony Barnim nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu wydukał:

– Maniewid jest gdzieś w pobliżu?

– Tak. Przyszedłem tutaj po skarby, dziś w nocy przesuszane. Poszczęściło mi się, że tu zawędrowałeś. We dwóch łatwiej damy radę je dźwigać, pomożesz?

Chłopak pokiwał głową.

– Trzymaj – powiedział mężczyzna, podając Barnimowi ciężki worek. – Wyłożyłem go futrem, żeby nie hałasował za bardzo – wytłumaczył. – Weź moją lampę. Ja mam jeszcze dwa worki. A teraz ruszajmy, w tamtą stronę.

Barnim ruszył przodem, słysząc za sobą pewny krok mężczyzny. Wszystko poszło łatwiej, niż się spodziewał. Ale nieznajomy nawet nie wspomniał, jak zamierza wynagrodzić chłopakowi pomoc. A jeśli wcale nie zamierzał? Wątpliwe, by za samo dźwiganie oddał cały worek skarbów. Pewnie rzuci mu jakiegoś srebrnika i każe się wynosić. Tym razem to on musi być sprytniejszy!

Szli wąską ścieżką na skraju bagna. Nagle Barnim się zatrzymał i uderzył nieznajomego workiem, wrzucając towarzysza do grzęzawiska. Chłopak już miał puścić się biegiem ze swoim łupem, gdy za jego plecami rozległ się nieprzyjemny śmiech.

– Niewdzięczny chytrusie! – zawołał nieznajomy. – Chciałeś położyć rękę na dobrach Maniewida? To teraz Maniewid da ci dobrą nauczkę! – Mężczyzna w czarnym płaszczu dmuchnął mocno. Zerwał się wiatr i światło w latarni Barnima zgasło.

Noc była bezksiężycowa i nagle zrobiło się bardzo, bardzo ciemno. Chłopak próbował oddalić się jak najszybciej, stąpając tak ostrożnie, jak tylko potrafił. Przez chwilę mu się udawało, aż nagle potknął się o korzeń i wpadł do grzęzawiska. Nie potrafił się z niego wydostać, nie z workiem. Dygocząc z zimna, postanowił przeczekać do rana, by w świetle dnia uratować skórę i łup.

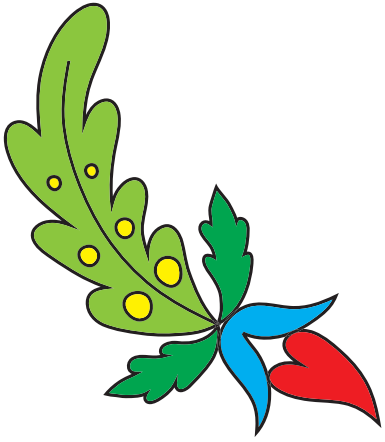




Doczekał w końcu piania koguta – ptaka, który nigdy nie zwiastował mu niczego dobrego. Kiedy ociekając wodą, wygramolił się na brzeg, zapragnął przyjrzeć się swojemu skarbowi. W worku wymacał coś gładkiego i zimnego – jeden z kamyczków używanych przez kraśnięta do przesuszania skarbów. Obok niego był drugi kamyczek. I jeszcze jeden. W worku nie było nic oprócz kamyczków!

Barnim zapłakał.

Pomyślał sobie, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko przeprosić ojca za swą krnąbrność. Poczuł wstyd i wielki żal. Ale zaraz postanowił oddać mu Maniewidowy worek, bo przypomniał sobie, że tatko zawsze marzył o porządnym worku do zbierania sosnowych korzeni. A jeśli on, Barnim, chce do czegoś w życiu dojść, powinien wziąć przykład z ojca i zabrać się w końcu do roboty!



Andrzej Lanc

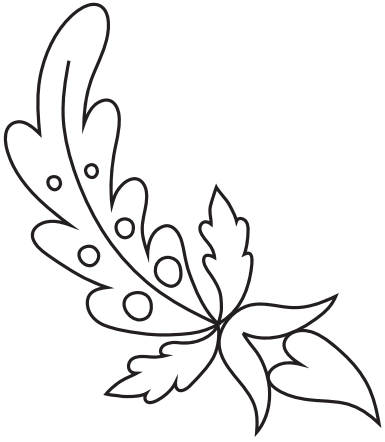
Jak gòstk Józwę gościnności uczył

Józwa był chyba najbardziej gburowatym gburem w Niesfornych Gaciach. Był jednak przy tym człowiekiem bardzo pracowitym, dzięki czemu wiodło mu się całkiem dobrze, a w jego gospodarstwie nigdy niczego nie brakowało. Powiadał, że wszystko, co ma, zawdzięcza tylko sobie. Jednak nie była to cała prawda…

W obejściu Józwy mieszkał bowiem mały, przyjazny duszek – gòstk. Był nieśmiały i zazwyczaj nie pokazywał się nikomu. Bywał natomiast bardzo pomocny – a to odpędził lisa, który skradał się do kurnika, a to zaczarował krowę, aby dawała więcej mleka, a to zamiótł podwórze, gdy nikt nie patrzył. Żona naszego gbura, Kryśka, pamiętała o duszku i co wieczór zostawiała mu przy progu miseczkę mleka, trochę chleba lub garść orzechów. Wiedziała też, że najbardziej przykrą rzeczą, którą można uczynić gòstkowi, jest odpędzenie lub złe potraktowanie gościa. Gòstkowie bowiem uważają, że każda osoba pukająca do drzwi domu, w którym mieszkają, powinna otrzymać pomoc – nieważne, czy puka ktoś znajomy, czy obcy.

Józwa jednakże myślał inaczej. Jego zdaniem każdy powinien troszczyć się tylko o siebie. Mówił: „Jeżeli podzielę się swoim obiadem z głodnym nieznajomym, to zapewne nie będę miał dość jedzenia, żeby starczyło dla mnie na drugie danie i deser!”. A jeśli chodzi o gòstka, uważał, że żadna pomoc w gospodarstwie nie jest potrzebna i doskonale poradzi sobie sam, z pomocą duszków lub bez niej.

Wkrótce miało się okazać, jak bardzo się mylił…



Pewnego razu do drzwi gospodarstwa zapukał znużony wędrowiec, prosząc o nocleg. Była już noc. Mroźny deszcz skapywał z naciągniętego kaptura mężczyzny.

– Wynocha! Poszukaj miejsca w gospodzie – zarechotał Józwa. Miał tym większy ubaw, że przecież we wsi nie było gospody, bo spłonęła zeszłej jesieni.

Siedzący przy oknie gòstk obserwował, jak odprawiony wędrowiec w przemoczonym płaszczu smętnie kuśtykał do innego domu. Jeszcze tej samej nocy spakował swój skromny dobytek i odszedł.

Odejściu gòstka przyglądał się z ukrycia smórgón – paskudny demon, który uwielbiał smrodliwe zapachy, a sam cuchnął gorzej, niż można sobie wyobrazić, gorzej niż noszone przez miesiąc skarpetki, gorzej niż pełna pielucha małego braciszka lub siostrzyczki, gorzej nawet niż bąki puszczane przez purtka (a to już jest niebywałe osiągnięcie!). Śmierdział tak, że osoby, które go poczuły, od razu robiły się zielone na twarzy i uciekały, ściskając się mocno za nosy.

Demonowi już od dawna podobał się chlewik w Józwowym gospodarstwie, który roznosił kusząco cuchnącą woń. Dotychczas jednak był odpędzany przez gòstka. Teraz, trzymając się za boki, z dumnie zadartą głową, smórgón wszedł do chlewa jak do siebie. Rozejrzał się i zawyrokował:

– Od teraz tu będę mieszkał! – I z radości podskoczył, stukając kopytami.

Gdy demon wprowadził się do chlewika, przerażone jego smrodem świnie wybiegły z zawiniętymi ogonkami, kwicząc rozpaczliwie. Sytuacja zrobiła się jeszcze poważniejsza, gdy kolejnego dnia smórgón odwiedził kurnik. Kury wyfruwały w te pędy, gubiąc pióra, a koguta tak zatkało, że od tego dnia już nigdy nie zapiał „kukuryku". Potem demon udał się do stajni, a koń uciekł do wsi, gubiąc po drodze wszystkie podkowy. Zajrzał też do stodoły, a mieszkające tam od pokoleń szare myszy umknęły do sąsiada i tego dnia zupełnie osiwiały, stając się całkiem białe.

Nie tylko mieszkańcy wsi, ale i zwierzęta zaczęły omijać gospodarstwo Józwy z daleka. Nawet ptaki zawracały, gdy dolatywały do granicy obejścia. Józwa nie wiedział, co w tej sytuacji począć, ale podpowiedziała mu to jego żona. Potrząsając groźnie wałkiem do ciasta, pokazała mu drogę i rzekła:



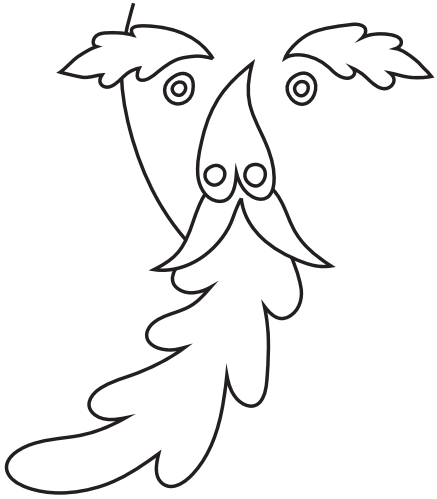
– Opuścił nas nasz dobry duszek i stąd całe to nieszczęście! Ruszaj mi tu natychmiast na poszukiwanie gòstka i nie wracaj bez niego!

Józwa spakował więc tobołek z jedzeniem i garścią monet, po czym wyruszył w drogę. Gdy pozostawił za sobą Niesforne Gacie, zobaczył stojącą na uboczu samotną chatę. Zdążył się już zmęczyć i pomyślał, że mały knypek, jakim był gòstk, też z pewnością nie zawędrował zbyt daleko. Zapomniał o przestrogach innych mieszkańców wsi, że akurat do tej chaty nie należy się zbliżać. Mieszkało tam szemrane towarzystwo, podejrzewane o różne niecne sprawki. Gdy tylko Józwa przekroczył próg domu, został ograbiony. Zbóje zabrali mu tobołek, a jego samego obili i wyrzucili na drogę. Benedikt, ich przywódca, na odchodne poczęstował jeszcze Józwę kopniakiem w zadek.

Gbur ruszył smętnie dalej, macając swoje podbite oko i skopany tyłek. Jak na złość właśnie zaczęło padać. Trzęsąc się z zimna, obolały i głodny, udał się do widocznego w oddali gospodarstwa, licząc na pomoc. Jednak trafił na innego niegościnnego gbura, który nie dość, że odmówił mu wsparcia, to jeszcze poszczuł go psami.

Uciekając w popłochu przez pole przed sforą groźnych burków, Józwa poślizgnął się na krowim placku i wpadł do dołu wypełnionego w połowie wodą. Był to jeden z odcisków stóp stolema Pasibrzucha, który niedawno tędy przechodził. Nieszczęśliwy gospodarz nie miał już sił nawet na to, by przestraszyć się ogromnych śladów stóp. Mokry i poobijany, wygramolił się w końcu z zagłębienia i poczłapał do najbliższego drzewa, które rosło przy drodze. Tam usiadł zziębnięty, opuszczony, głodny, ze spodniami poszarpanymi przez psy i zapłakał nad swoją niedolą. W końcu wyczerpany zasnął.

Rano zauważyła go uboga kobieta, która szła do pracy w warsztacie we wsi. Widząc żałośnie wyglądającego człowieka w łachmanach, zdjęła ją litość i dała mu pół bochenka chleba, który miał jej wystarczyć na cały dzień. Potem ruszyła dalej, uśmiechnięta, mimo że, jak sądził Józwa, zapewne będzie głodna aż do powrotu do domu. Gospodarz był tak zdumiony tą dobrocią, że siedział i gapił się na chleb, nie zważając na burczący brzuch.



Nagle zobaczył staruszka, który mijał go, idąc drogą. Staruszek wyglądał tak samo jak on w tej chwili – zgarbiony, wychudzony, w złachmanionym płaszczu. Gdy przechodził obok, obrzucił głodnym spojrzeniem mizerne pół bochenka trzymane przez Józwę. Gospodarz poczuł przypływ współczucia.

– Poczekaj! – zawołał. – Spocznij przy mnie, podzielę się z tobą.

– Jak to? – Zdumiony staruszek przysiadł obok. – Sam wyglądasz jak siedem nieszczęść. Jeśli się podzielisz, nie najesz się do syta.

– To prawda. – Józwa pokiwał głową. – Ale to wystarczy, abyśmy i ja, i ty nabrali siły do dalszej drogi.

– Mądrze mówisz! Ale czekaj, czy ty nie jesteś Józwa z Niesfornych Gaci? Ten Józwa, o którym słyszałem, nigdy nie podzieliłby się jedzeniem z innymi.

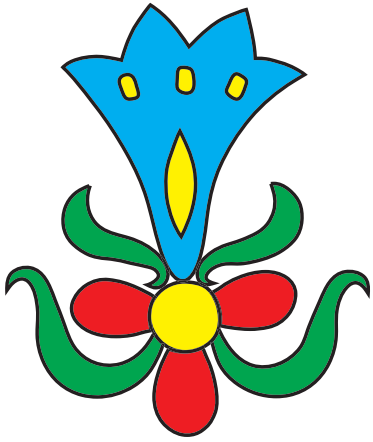
– Tak było – przyznał gospodarz. – Ale doznałem zarówno zła, jak i dobra w trakcie mojej tułaczki i rozumiem już, że współczucie nie jest słabością, lecz daje siłę. A poza tym każdy z nas może pewnego dnia stać się włóczęgą przepędzanym od drzwi do drzwi. Szkoda, że nie zrozumiałem tego wcześniej! Gdyby tak było, mój gòstk by mnie nie opuścił! Ach, wiele bym dał za to, żeby wrócił do domu!

W tym momencie staruszek zniknął, a zamiast niego pojawił się… inny, zupełnie malutki, jak małe dziecko. Miał długą, siwą brodę, a jego pomarszczoną twarz rozjaśniał uśmiech. To był właśnie gòstk, który zobaczywszy nieszczęśliwego Józwę, postanowił sprawdzić, czy ten nauczył się czegoś w trakcie wędrówki.

– Dałeś mi połowę swojego ostatniego kawałka chleba – powiedział radośnie. – To jest wystarczająco wiele!

Gòstk złapał Józwę za dłoń i ruszyli razem do domu. Czekało ich jeszcze pozbycie się smórgóna, ale dla szczęśliwego gòstka to zadanie było drobiazgiem.





Anna Sabara

O Jablonie i złotym jabłku

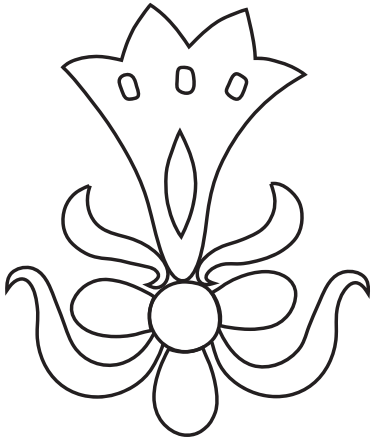
Razu jednego najstarszy sad w Niesfornych Gaciach został uratowany przez dzieci. A zaczęło się to tak:

Na drzewie siedział przeraźliwie chudy Jablon, machał nogami i zażerał się jabłkami. Bliźniaki Różyczka i Sambor przecierały oczy ze zdziwienia. Przecież to był ich sad! Ich owoce! Jak on śmie!

– No, czo tak gały wytrzeszczacze? Poszli do checzy! – zaskrzypiał Jablon, rzucając w nich ogryzkiem. Dzieci uciekły z piskiem.

Od jakiegoś czasu z ich sadu tatulowi i mamuli ginęły jabłka. Na początku dorośli myśleli, że winowajcami są dzieci, w końcu piątka ich była w zagrodzie. Ale kiedy każde z nich zarzekało się przy dźwiękach płaczu, pociągania nosem i chlipania, że to nie oni – rodzice im uwierzyli. Tatula z mamulą pomyśleli nawet o rzezimieszkach, co to po lesie chadzają i na skraju wioski mają swoje siedliszcze. Ale zaraz się opamiętali – po co zbójcy kradliby ich jabłka? Oni wolą błyszczące monety.

Najstarsze bliźniaki, roztropna Róża i wiecznie głodny Sambor, postanowiły pomóc rodzicom. Tatula na co dzień łowił rybki, a mamula zajmowała się zagrodą. Cała rodzina zrywała jabłka i sprzedawała na te wielgachne łódki, co czasem do Niesfornych Gaci przypływały. A teraz nie mieli co sprzedawać, jabłka ginęły, rodzice się zamartwiali, a dzieci płakały. Wszystkich z wioski podejrzewali o te kradzieże, a najbardziej Barnima, ale na demona nie wpadły. Żeby Jablon im jabłka kradł? Kto to słyszał! Ale co teraz zrobić?



Jak się go pozbyć? Gdzie o pomoc pytać?

Dzieci siedziały na ławie przed checzą i myślały. I wzdychały. Patrzyły na Burka leżącego pod krzakiem. Ciągnęły Micka za ogon. I wzdychały, i myślały.

– Wiem! – krzyknął Sambor. – Pójdziemy do Benedikta! On się nikogo nie boi i go pogoni!

– Głupiś. – Różyczka skrzywiła się z niesmakiem. – Tatula i mamula nas nie wypuszczą. Zresztą to daleko w lesie. Trzeba szukać bliżej… Wiem! Kraśnięta!

– Kto? – Chłopiec otworzył buzię ze zdziwienia.

– Te domowe duchy, co pomagają w zagrodzie. Chodź, poszukajmy ich!

I bliźnięta poszły szukać kraśniąt. Szukały na strychu, przejrzały wszystkie zakurzone kąty i nic. Szukały w obórce, za sianem. Szukały pod łóżkiem, za piecem, pod stołem, w spiżarce. I nic. Wszędzie pusto i biednie.

– Te kraśnięta to jakieś bajdy – stwierdził zrezygnowany Sambor. – Wszystko przetrzepaliśmy, a ich ani widu, ani słychu.

– Daj mi pomyśleć – burknęła Róża. Ona też była zmęczona poszukiwaniami.

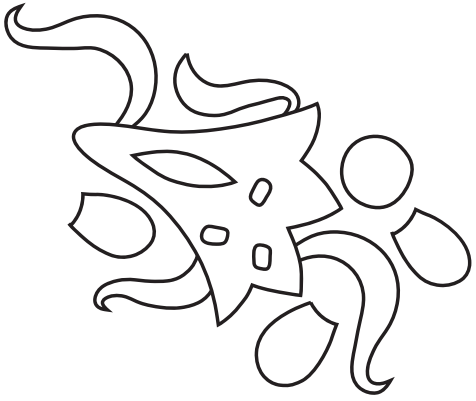
– Głodny jestem… – zajęczał brat. – Mamula zrobiła już kolację?

– Otóż to! – krzyknęła dziewczynka, bo przypomniała sobie, że domowym duchom trzeba przynieść coś do jedzenia. – Nie obżeraj się, tylko zostaw parę okruchów chleba. Jak tatula i mamula pójdą spać, zaczekamy na kraśnięta.

Po wieczerzy, kiedy wszyscy w checzy zasnęli, bliźniaki rozsypały okruchy koło pieca i czekały w ukryciu. Koło północy usłyszały ciche popiskiwanie. Z ciemności wyłoniły się trzy domowe duszki. Chude były, a czerwone czapeczki spadały im na oczy. Oj, nieładnie zapominać o swoich opiekunach. Samborowi i Różyczce zrobiło się wstyd. Bo jakże to tak – nie karmić własnych kraśniąt. Skrzaty w okamgnieniu zjadły okruszki i wtedy dzieci się odezwały:

– Kraśnięta drogie, wybaczcie, że was nękamy, ale bardzo potrzebujemy waszej pomocy. Pomożecie nam? – zaczęła Róża ostrożnie.

Duszki się przestraszyły, zbiły się w gromadkę i trzęsły.



W końcu wypchnęły przed siebie najmniejszego z nich.

– Co by dziewczę chciało? My małe skrzaty, głodne, chude. Nikt o nas nie dba. Dlaczego mamy pomóc, skoro nam nie pomagają? Głodujemy…

– A co byście chciały zjeść?

Najmniejszemu rozświetliły się oczy.

– Marzy nam się kapka mleka… Mleko dobre, dużo sił daje…

– Jutro wam je przyniesiemy! – obiecała Róża, a kraśnięta pisnęły wesoło, zakręciły się i zniknęły.

Sambor spytał:

– Jak chcesz to zrobić? Przecież nasza koza już nie daje mleka.

– Mam plan. – Róża się uśmiechnęła.

Nazajutrz rano dzieci szły wesoło przez wieś. Zaszły do checzy Józwy. Odkąd wrócił z poszukiwania swojego gòstka, zmienił się nie do poznania. Pomagał każdemu i nie oczekiwał za to zapłaty. Bliźniaki zapukały, Józwa otworzył i zdziwił się ich niespodziewaną wizytą.

– Panie Józwa, prośbę mamy. U nas biedno, koza mleka już nie daje, a nasze kraśnięta proszą o kapkę mleka. – Róża się zasmuciła. Józwa uśmiechnął się pobłażliwie i przyniósł dzieciom kubek mleka. W końcu trzeba pomagać swoim – pomyślał.

Wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać, domowe skrzaty znów zjawiły się koło pieca. Zadowolone wypiły zostawione mleko, wymlaskały smak i gotowe były słuchać.

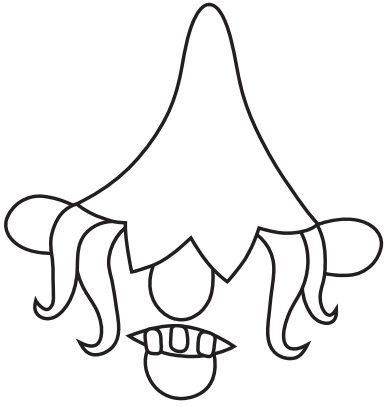
– W naszym sadzie Jablon się pojawił. Jabłka nam zżera – zaczęła Róża.

– Nie wiadomo, co z nim zrobić – dodał Sambor.

Kraśnięta pokiwały głowami i zaczęły się naradzać. Piszczały, piszczały, aż w końcu zdecydowały.

– Dziękujemy za mleko, ładnie o nas zadbaliście, dlatego mamy dla was dar, dzięki któremu pogonicie Jablona z waszego sadu. Oto złote jabłko. Idźcie do sadu i dajcie mu je. Będzie chciał je zjeść i zobaczycie, że pójdzie precz. Obiecujemy Wam – pisnęły i zniknęły, a dzieci zostały ze złotym jabłkiem w ręce.

Noc była księżycowa. Miesiączek jasno świecił na niebie, tak że widno było niczym w dzień. W sadzie wszystko



ucichło. Jak przed awanturą z mamulą i tatulem, kiedy się wyjadło ciepłe rodzynki z ciasta – pomyślał Sambor. Dzieci wkroczyły do nocnego sadu.

– Jablonie! Jablonie! – nawoływały demona. Gdy się nie odezwał, powoli podeszły do drzewa, na którym ostatnio się zaląg.

– Czo te dzieci? – zatrzeszczał Jablon, wyciągając się na gałęzi. – Czy wy nie wiecze, że jak nocz, to sze szpi?

Niezrażona Różyczka szybko odpowiedziała:

– Kiedy my mamy dary dla szanownego pana demona.

– Dary? Czo sa dary? – zaseplenił demon.

– Najwspanialsze na calutkim świecie. To najlepsze jabłko z naszej wsi! – Dziewczynka pokazała gestem, żeby brat wyciągnął dar z tobołka. – Patrz!

Jablon uśmiechnął się szeroko. Takie okrągłe, idealne jabłko, do schrupania od razu. Aż ślinka ciekła na samą myśl.

– Dawaj! – Zamachał chudymi rękoma.

Sambor spojrzał na siostrzyczkę i uśmiechnął się pod nosem. Jablon wyczekiwał. Chłopiec rzucił jabłko w górę, a demon rzucił się na nie. Poczuł jego dziwny ciężar, ale wiedziony chciwością, wziął potężnego gryza.

– AAAAAUUUUUU! – Zgrzytnęło, stęknęło i na ziemię posypały się zęby Jablona. – Czy to są czary? Boli, jak boli! Dzieczory niedobre! Żeby was pokarało! – złorzeczył demon. Machając ręką, stracił równowagę i runął na ziemię.

– AAAAAAUUUUU! – Krzyk Jablona rozbudził ludzi w całej wsi. Demon spadł na stertę liści, lecz na jego nieszczęście pod drzewem spał jeż. I tym sposobem w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę, Jablonowe ciało pokłuły igły.

Demon pomstował, wymachiwał rękami i straszył, ale w oczach miał łzy. A Purtek mówił mu, by z daleka od dzieci się trzymać, bo są gorsze niż diaboły, co po lasach latają. I proszę, co się przez nie stało! Zębów nie miał, jabłek nie mógł jeść. Pokuśtykał w stronę wsi. Teraz zostały mu do pałaszowania tylko śliwki. Miękkie i soczyste. Ale w tym sadzie śliwek nie mieli, gdzie więc pójdzie? Może do Józwy? On zawsze chętnie gości przyjmuje. I tak rozmyślając, Jablon na zawsze opuścił sad Różyczki i Sambora, a dzieci uratowały rodzinne zbiory.



Słowniczek

Bambaryła – ktoś gruby i powolny
Bukszpryt – drzewce na dziobie żaglowca
Bursztyn – kamień ozdobny o żółtej barwie
Checz – chata kaszubska
Dutki – pieniądze
Dziatki – dzieci
Gbur – bogaty gospodarz kaszubski
Hubka – proszek do rozpalania ognia
Kambuz – kuchnia na statku
Koja – łóżko na statku
Korab – okręt, statek, łódź
Krypa – duża łódź o płaskim dnie
Krzesiwo – narzędzie do rozpalania ognia
Maszkara – straszydło, potwór, brzydal
Morska Panna – syrena
Nestor – zasłużony członek rodu
Lelek – ptak nocny
Sakwa – torba podróżna
Sieczka – słoma dodawana do paszy zwierząt
Siedliszcze – siedziba, dom

Spis Treści

3 • Słowo od biblioteki

4 • Słowo od redaktorki

5 • Magdalena Zawadzka-Sołtysek • *Kaszubajki*

6 • Mapa

7 • Anna Klara Jędrzejczyk • *O tym, jak Rugan w zaloty chodził*

8 • Magdalena Zawadzka-Sołtysek • *O tym, jak Klabaternik piratów przechytrzył*

16 • Sławomir Mikołajczyk • *Jak Purtek Pasibrzucha przepędzał*

22 • Grzegorz Bryszewski • *O olbrzymiej kłótni*

26 • Mariusz Hybiak • *O tym, jak przepędzono Morę*

31 • Jakub Łukaczyński • *Jak Barnim się wybrał po Maniewidowe złoto*

35 • Andrzej Lanc • *Jak gòstk Józwę gościnności uczył*

40 • Anna Sabara • *O Jablonie i złotym jabłku*

45 • Słowniczek